





Agrun

ISBN 978-83-945664-0-1

Keltan Żeglarz

I

Było kilka dni po pełni. Księżyc dopiero wstawał. Słońce schowało się za ostatnią z fal na tyle dawno, że gwiazdy zdążyły wypełnić zachodnie niebo. Stary pomost wydał trzeszczący dźwięk, gdy dwaj jeźdźcy zeskoczyli ze swych wierzchowców na deski.

– Jak możesz...

– Stękasz znowu jak stary osioł. Buziaczku, jadę. Taką podjęłam decyzję.

– Mnie chodzi jedynie o kredyt. Znowu kredyt. Przysięgam, to jedynie o kredyty tutaj chodzi. Jedź chociaż i na kraj świata, ale jak można wydawać pieniądze, których brak. Tu logiki nie ma i sensu.

– Zapewniam cię, że bez pieniędzy podróżować można...

– Ci ludzie zawrócili ci w głowie. Listy przesyłacie sobie od dawna. Przemykam na to oko i co mnie spotyka? Wszyscy ponosimy ciężar twoich decyzji. Te pieniądze, które zobowiązujesz się im oddawać, skądś wspólnie będzie trzeba wydobyć.

– Zapewniam cię, po wizycie w Szrama już zawsze będziemy mieć mnóstwo pieniędzy.

Keltan Remu otrząsał się powoli z nadmiaru emocji. Fale spokojnie oddychającego oceanu działały kojąco. Wiedział, że rano temat jej wyjazdu powróci tak samo, jak powracał każdego poprzedniego dnia, jednak tego wieczoru morska bryza wygrała z logiką.

– Kocham cię, ten ciężar jednak coraz mocniej ciśnie mnie do ziemi. Trudno pogodzić się z twoją decyzją, bo podejmujesz ją wbrew moim radom. Podważasz nasz sojusz – przerwał milczenie, tym razem ostrożniej ważąc słowa.

– Masz mnie za kogoś, kto dawno już odszedł. Nasz sojusz jest dla mnie ważny, tak jak i dla ciebie. Ale mam też swoje marzenia – odparła.

Oboje patrzyli na księżyc, który wspinał się nad wydmy. Na horyzoncie migotały światła portu Sunsandry. Remu objął La Rin i przyciągnął do siebie, podczas gdy konie bezgłośnie ubijały kopytami piasek.

– La Rin... Sojusz z tobą to wyzwanie.

– Jestem La Rin. Cóżżeś myślał, śmiałku, o sojuszach z moim rodem? – jej głos drwił, ale pobrzmiwające w nim ciepłe tony były słodkie niczym owoc dojrzały w górskim sadzie. – Jestem największa, najdostojniejsza. Moje czary są potężniejsze od czarów każdej z tych, które mienią się córkami szeptu. Po powrocie ze Szrama czekaj na mnie, śmiałku, bo przywiozę stamtąd wiedzę jeszcze potężniejszą – wyszeptała, jej ciało zadrżało zaś niemal boleśnie, gdy ostatnie słowa opuszczały usta.

Remu przyciskał kobietę do siebie. Znał już ten stan. Mroził jego wnętrzości, zatrząskiwał kolejne drzwi. Gdzieś tam wciąż kryła się mała Rin, ta, którą poznał dawno temu. Tę Rin kochał, ale coraz mniej ścieżek stało do niej otworem.

– Jestem z tobą – przemówił cicho. Pocałował jej czoło i wspiał się na wierzchowca. Wyczerpanie spowodowane kłótnią pozwoliło na chwilę zapomnieć o różnicy zdań. Konie ruszyły ochoczo, jeźdźcy zaś spoglądali ukradkiem na siebie, sprawdzając, czy potrafią kontynuować rozmowę, nie wywołując kolejnego sporu. Oboje milczeli, aż prowadząca od plaży uliczka zaprowadziła ich między pierwsze zabudowania. Rytmiczny ruch unoszących się w siodłach bioder uspokajał nerwy.

Jechali przedmieściem, drogą wiodącą z rybackiej przystani. Remu widział dostatnie obejścia i czyste klany na opalonych w słońcu karkach. Doskonale zdawał sobie sprawę, iż wieczór to czas na odpoczynek, na wspólny posiłek i zabawę z dziećmi. Gdzieś na dnie pozostawała jednak wciąż tłąca się obawa: Szrama.

Keltan starał się dotrzeć do źródeł swoich wątpliwości, po raz nie wiedzieć który przypominał więc sobie wizytę po drugiej stronie oceanu. Latające maszyny robiły na nim nikłe wrażenie. Obrzędy po kilku dniach wywołały znużenie. Widział ludzi pragnących osiągnąć oświecenie, rozmawiał również z tymi, którzy przerwali praktyki. Wyrobił sobie na temat Szrama opinię, która była krańcowo odmienna od zachwyty Rin. Jej śmiech był jednak wciąż tak samo perlisty...

– Haj, kolego, łotrzyku, widzę, żeś obrabował dziś sprytnego rybaka – rozluźniona sojuszniczka zaczepiała właśnie patroszącego rybę młodzieniaszka, który siedział przed solidną chatą z desek i filetował okazałą randu. – Szepnę słówko, może wezmą cię na pazia. Pod warunkiem, że wyszykujesz tę rybkę lepiej niż mój kucharz – uwielbiała zagadywać do obcych, zwłaszcza gdy byli nimi przystojni chłopcy. Ten był wyjątkowo ładny. Miał jasne włosy, a jego oczy sprytnie spoglądały spod długich rzęs. Remu bez zazdrości przyglądał się scenie. To była Rin, którą kochał.

– Zwą mnie Bali Kan – odezwał się młodzik.

La Rin powstrzymała konia. Uważnie popatrzyła na chłopca, zwlekała jednak z odpowiedzią. Wahala się najwyraźniej, co zrobić z uroczym przedstawicielem lokalnej społeczności.

– Dobrze sprawiam ryby, ale jeszcze lepiej śpiewam – ten odważnie spoglądał właśnie na Remu, który kiwnął w jego stronę głową.

– Dawaj, człowieku, jesteśmy spragnieni zabawy – Rin potrafiła podejmować błyskawiczne decyzje. Zeskoczyła z wierzchowca i wycelowała palcem w uchylone drzwi chaty. – Rybę może sprawić twoja mama.

Keltan posłusznie poszedł w ślady towarzyszk. Już wiedział, do kogo należy ten wieczór. Gdy jego stopy dotknęły ziemi, dostrzegł, iż w wejściu do domu pojawiła się postać; lekko przygarbiony mężczyzna przyglądał się gościom zza wół otwartych drzwi. Jego nieśmiała postawa była zgoła odmienna od

zachowania młodzieńca, który uporczywie starał się złowić spojrzenie przywiązującej właśnie do płotu swój czworonożny środek transportu La Rin.

– Silla pragnie, aby zagrać dla niej – chłopak rzucił w kierunku sieni i aby nie tracić więcej czasu, umieścił rybę na gładkim kamieniu, jednym z wielu, które czyjaś ręka ułożyła przed wejściem do domu. Ukłonił się najdawniej, jak potrafił, po czym znikł wewnątrz, pozostawiając przybyszów ze starszym osobnikiem w obszernym klanie.

La Rin rozglądała się wokół. Remu znał ją tak dobrze. Zastanawiał się, jaka siła sprawiała, że wciąż jeździł z nią na podobne wyprawy. Coraz częściej znajdował się w identycznej sytuacji; wśród obcych, w obcym obejściu.

Stary miał brązowe oczy i wskazał miejsce, gdzie mogli usiąść. Całkiem wygodna ławka wyłożona została materiałem utkanym z trzcinowych włókien. Nad solidnie osadzoną w ziemi konstrukcją pochylało się bardowe drzewo. Keltan musiał przyznać, że czasem wydarzenia sprowokowane przez La Rin sprawiały mu radość. Być może ten wieczór należał również do Keltana Remu?

– Gdzie jest moja raftan? – do ich uszu dotarł zdenerwowany głos. Starszy mężczyzna ostrożnie czyścił randu. Gdy usłyszał pytanie, spojrzał na gości, a w jego oczach dostrzec można było to jedyne w swoim rodzaju ciepłe uczucie, jakie żywi ten, który wie, do tego, który wciąż poszukuje. Nie zdążył jednak udzielić odpowiedzi, La Rin coraz swobodniej czuła się bowiem w nowym dla siebie miejscu. Nie mogła pozwolić, aby uwaga towarzystwa zbyt długo odwrócona była od jej osoby.

– Kogoś mi przypominasz, człowieku. Kupiłam ostatnio hunę. Sprzedawca miał takie same oczy.

Keltan z coraz mniejszym zainteresowaniem wysłuchiwał historii, które wymyślała niemal na poczekaniu. Stary tymczasem opuścił wzrok, ponownie skupiając się na randu. Jego ręce były zwinne i potrafiły sprawnie operować ostrzem. Mogło się wydawać,

iż zignorował słowa La Rin, ale gdy już otwierała usta, aby powtórzyć zaczepkę, przemówił łagodnym głosem.

– Silla, miałem kiedyś zwierzęta. Ale smak mleka mi zbrzydził.

– Człowieku, to dobre, a co ma smak mleka do handlu mlekiem? – Rin wydawała się zadowolona, że udało się jej wywołać dyskusję. – Ja handluję nawet owocami ganu, a wiesz, jak śmierdzą owoce ganu. Kto ma na nie chrapkę? Tacy też się znajdują.

Stary oderwał się od pracy. Wyprostował plecy, a kark wyciągnął do góry. Wokół szyi zawiązany miał rzemyk, na którym wisiała biała rybia kość.

– Silla, handel to piękna rzecz. Ale żeglowanie... – Remu widział, jak oczy mężczyzny patrzą już gdzieś poza ciemność, tam, gdzie wyobraźnia malowała fale i rozpięte żagle. – Byłem pasterzem, zwierzęta dały mi dostatek. Żeglowanie dało mi życie – jego słowa zapadły w mrok, tymczasem w drzwiach pojawił się drugi z gospodarzy ze strunową raftan w dłoni. Był zmieszany. Być może dopiero teraz orientował się, że prezentuje swoje umiejętności wobec gości bardziej dostojnych niż ci, dla których dotąd grywał.

– Raftan trzeba nastroić, ale strojenie wzmacnia apetyt na muzykę, jak zapach gotowanej zupy wzmacnia apetyt na jedzenie. Prawda wujaszku? – chłopak gadał więcej niż trzeba, prawdopodobnie by ukryć zmieszanie.

– Człowieku, Bali Kan, tak cię zwa? Graj choćby na kozim zadzie, byle była z tego jakaś zabawa – La Rin znów była sobą. Grajek popatrzył na nią, podczas gdy jego dłonie regulowały naciąg strun.

– To pieśń o człowieku. Miał kiedyś bogatą sojuszniczkę i sam był bogaty. Tak przynajmniej myślał. Bo gdy kobieta zmienia się w sojuszniczkę...

– Człowieku, Kan, graj, bo gadać umiesz, to już wiemy.

Remu przysłuchiwał się błazeństwu Rin, ale jego uwagę przykuwał starszy mężczyzna. Płaty randu leżały już na płaskim talerzu, stary zaś nacierał je przyprawą, która wierciła w nosie. Woń

różowego proszku była dla Remu obca. Przysunął się do mężczyzny i przyglądał uważnie jego ruchom, podczas gdy powietrze zaczęło wibrować dźwiękami muzyki.

To rzeczywiście może być wieczór Keltana Remu, bo Keltan Remu potrafi każdą sytuację obrócić na swoją korzyść – zadziorna myśl zatrzepotała w umyśle mężczyzny niczym niesforne skrzydła motyla. Jego zmysły entuzjastycznie reagowały na nowe bodźce. Po raz pierwszy zasłyszana melodia i obcy zapach sprawiały, iż poczuł się niczym podróżnik, który właśnie zawitał do wioski dzikiego plemienia na dopiero co odkrytej wyspie.

– Co to jest? – wskazał na przyprawę. Stary uderzał dłonią w randu, po czym sięgał do dzbana, gdzie znajdował się proszek.

– Sil, to orzech z drzewa, które rosło na jednej z wysp. Ścieram go – mężczyzna spojrzał na swojego gościa uważniej.

– Pierwszy raz widzę coś takiego. Jesteś pewny, że nas nie potrujesz? – żarty trzymały się Remu zwłaszcza wtedy, gdy udawało mu się zapomnieć o sporach z La Rin.

– Sil, naprawdę uczynicie nam ten zaszczyt, aby jeść z nami?
– wujaszek, jak nazwał go Bali Kan, jak gdyby nigdy nic kontynuował swoje zajęcie. Z ust młodzieńca dobiegły ich słowa pieśni, zaintrygowany Remu przerwał więc na chwilę, aby posłuchać.

Dobre było życie
Pełne było nieba
Już na ziemi przyszła
Skrzydłata swoboda

Gdy się połapałem
Że to wszystko złuda
Już po wszystkim skradła
Ostatniego buta

– Znać się na żeglowaniu, to dobrze – Remu znów zwrócił się do oklepującego rybę sąsiada. – Jeśli mam się otruć, to razem z wytrawnym żeglarzem – spojrzał w oczy rozmówcy i dostrzegł w nich znajomy błysk. Właśnie tak patrzyli na siebie ludzie morza.

– Sil, to ty jesteś wytrawnym żeglarzem, ja tylko żeglowałem.

– Skoro taki ze mnie żeglarz, dlaczego pierwszy raz widzę twoją różową przyprawę?

Stary zawahał się.

– Sil, drzewo na wyspie, gdzie mieszkałem, uschło dawno temu. Tej przyprawy używam tylko dla specjalnych gości, bo takich drzew... Gdzieś może jeszcze rosną – zapatrzył się przed siebie, ciszę zaś znów wypełnił śpiew.

Dorodne owoce

Jadałem co rano

Wieczorami grałem

Kolację podano

Dzisiaj jestem łysy

Brudne moje kapcie

Kiedy burczy w brzuchu

To muzyka bracie

Keltan Remu spojrzał na Rin. Jej uśmiechnięta twarz jaśniała w świetle latarni wiszącej u wejścia do domu. Lubił, kiedy dobrze się bawiła, odnosił jednak wrażenie, że coraz rzadziej cieszyła się na myśl o wspólnych planach. Jakże trudno był podtrzymywać tę nić porozumienia, która łączy dwoje istot na początku ich wspólnej drogi. Remu przyznawał w duszy, iż również on pragnął nowych podniet.

– Człowieku, mówisz o mnie, że jestem żeglarzem... – zwrócił się do starego, który właśnie wstawał. Mężczyzna spojrzał na Remu i skinął w stronę drzwi. Zasłuchana La Rin i przygrywający jej Bali

Kan najwidoczniej doskonale bawili się w swoim towarzystwie, Keltan ruszył więc za gospodarzem, który pchnął skrzypiące drzwi chaty. Przystąpili próg.

W środku domu paliła się mała sudrowa lampa, której paliwo stanowił rybi tłuszcz. W pomieszczeniu unosił się zapach drewna, w kącie zaś stał piec, gdzie stary najwidoczniej zamierzał kontynuować swój kucharski projekt.

– Sil, jestem tylko prostym człowiekiem, ale doświadczyłem rzeczy, które wielu przyprawiłyby o zawrót głowy – gospodarz płynnymi ruchami otwierał szafki, wyszukując w nich naczynia i przyprawy. W jego dłoniach pojawiła się potężna patelnia o wypukłym dnie, po chwili zaś wnętrze pomieszczenia wypełniły wesole trzaski buzujących wewnątrz pieca płomieni. Gdy ryba wylądowała już w rozgrzanym naczyniu, stary przemówił. – Proszek, o którym rozmawiamy, jest czymś więcej niż tylko przyprawą. Jest bramą... – wydawał się być skupiony na gotowaniu, jednocześnie jednak wypowiedział ostatnie zdanie w sposób, który sprawił, iż przestrzeń chaty zadrgała niczym pudło rezonansowe raftan należącej do jego młodego siostrzeńca. Po karku Remu zaczęły tańczyć mrówki. Nie należał do osób, które podnieca byle opowieść morskiego włóczykija, słyszał ich bowiem tyle, iż wyrobił sobie zdanie na temat daleko idącej rozbieżności, która potrafiła dzielić faktyczne wydarzenia od ich późniejszych relacji płynących z ust morskiej braci. Ufał jednak reakcjom swojego ciała.

– Człowieku, wzmacnia się moja ciekawość. Nazwałeś mnie żeglarzem. Znamy się?

Mężczyzna odwrócił się i wyciągnął dłoń.

– Powiedziałem, że żeglowałem. Ty mnie zapomniałeś, ale ja wciąż pamiętam ciebie – położył rękę na ramieniu Remu. Jego chwyt był mocny niczym uścisk wodnego węża, który wciąga pływaka pod wodę. Keltan zatrzęsł się cały, słowa starego zabrzmiały bowiem znajomą nutą, jego dotyk zaś przypominał dawno zatarte w pamięci zdarzenia. Mężczyzna mówił dalej. –

Umknąłem shiraz wiele razy, żeby cię odnaleźć. Przemierzałem światy... – pociągnął Remu w dół i usadowił na niskim stołku. Keltan nie starał się nawet opierać. Siły nagle go opuściły.

– Mam ci coś do zaproponowania, ale najpierw powiedz mi, jaka jest twoja wiara? – gospodarz kucnął, spoglądając w jego oczy. Siedzący na stołku drżał. Ukryte gdzieś na samym dnie duszy wspomnienia odezwały się echem, którego wciąż nie rozumiał. Zamazane cienie unosiły się do powierzchni świadomości, wywołując niemożliwe do opanowania wzburzenie. Czy to były baszańskie sztuczki? Co wiedział ten człowiek? Skwiercząca na ogniu ryba wypełniła izbę zapachem tłuszczu zmieszanego z wonią przyprawy.

– Chcesz mi coś zaoferować czy gadać o filozofii? – zapytał w końcu Remu, nadając swoim słowom ton drwiny. Z całych sił pragnął ukryć gorączkowe podniecenie, które go ogarnęło.

– Powiedz, proszę, co wiesz o shiraz? – nie dawał za wygraną stary, podczas gdy Keltan powoli opanowywał targające nim uczucia. Wyprostował się i głęboko spojrzał w świdrujące go oczy, ręką zaś sięgnął po dłoń, która wciąż spoczywała na jego ramieniu.

– Powiedz najpierw, jak cię zwą.

– Moje imię zmienia się. Dziś zwą mnie Tubal Kan. Ty możesz nazywać mnie Sadu, tak jak nazywałeś mnie, gdy się jeszcze znaliśmy.

– To, w jaki sposób się przedstawiasz, jest co najmniej dziwne – w niespodziewany sposób dotyk, który jeszcze przed chwilą odczuwał jako zagrożenie, sprawiał teraz, iż jego ciało stopniowo odprężało się. Remu oparł się o piec i spojrzał w górę. – Uważaj na tę rybę. Jestem głodny, a zdarzyć się może, iż na kolację zostanie nam jedynie zapach spalonej randu.

Gospodarz uśmiechnął się, tak jakby osiągnął zamierzony cel. Uniósł się i skoncentrował na palenisku, tymczasem Keltan w milczeniu obserwował jego ruchy. Nie wiedział, co sądzić o mężczyźnie, który przed chwilą tak skutecznie wyprowadził go

z równowagi. Czuł się jednak zaskakująco bezpiecznie, siedząc tuż obok promieniującego ciepłem serca tej malutkiej chatki. Znali się czy też nie, ze zdziwieniem stwierdził, iż ma wielką ochotę odpowiedzieć na zadane mu przed chwilą pytanie.

– Jest mnóstwo szkół, mnóstwo poglądów... – zaczął ostrożnie.
– Jeden zdaje się jednak przeważać... – w trakcie gdy mówił, jego głos stawał się coraz bardziej pewny. – Ta jedna szkoła mówi, że shiraz jest naszym celem i ostatecznym przeznaczeniem.

Stary pokiwał głową. Na zewnątrz zdawał się przygarbiony i wycofany. Tutaj urósł, a jego twarz nabrała blasku. Remu kontynuował, bo czuł, że jego słowa są uważnie słuchane. Pierwszy raz mógł wypowiedzieć się na temat, który stanowił źródło wielu wątpliwości lęgnących się w głębi jego duszy.

– Shiraz na obrazach jest przedstawiana w szkaradnej postaci. Ale zdaje się, że można ją sobie wyobrazić też zupełnie inaczej. Tyle że wtedy nosiłaby prawdopodobnie inne imię...

Jego słowa przerwał śmiech La Rin, która tanecznym krokiem przekroczyła próg domu. Za nią dreptał Bali Kan, trzymając w ręku swoją raftan.

– Jestem, jestem. Wiedziałam, że mnie szukacie – rozejrzała się po wnętrzu, a gdy dostrzegła Keltana, ruszyła w jego kierunku. – o czym to rozmawiacie? – zgrabnie usiadła na kolanach sojusznika i zarzuciła mu rękę na szyję.

– Tematem rozmowy jest shiraz, chociaż zmierzamy do zagadnień jeszcze ciekawszych – odparł stary.

– Proszę, bez filozofii. To nuda – ziewnęła La Rin. – Poczuliśmy zapach tej rybki i weszłam do środka, bo coś mi tutaj już burczy – pokazała na odsłonięty pępek. Była ubrana w kamizelkę haftowaną niebieską nitką i spodnie do jazdy. Ramiona miała odkryte tak jak i brzuch. O tej porze roku noce były ciepłe.

– Silla jest głodna – Bali najwidoczniej wyśpiewał nadmiar słów i zaczął wyrażać się bardziej oszczędnie. Stał w wejściu i sprawiał wrażenie, jakby występ zamiast rozluźnić, jeszcze

bardziej go usztywnił. Znikła początkowa pewność siebie. – Silla, proszę usiąść wygodnie – wskazał nieśmiało na miejsce przy stole.

La Rin obrzuciła go zniecierpliwionym spojrzeniem, po czym wygodniej usadowiła się na kolanach Remu i odezwała w kierunku starego. Miała ochotę na dyskusję.

– Handel mlekiem cię znudził, więc zająłeś się filozofią? Myślałam, że żeglowałeś.

– Żeglując, masz wiele czasu. Bezkres uwalnia myśli – odparł mężczyzna, obracając randu na patelni. – Ta ryba na przykład. Zwą ją randu, ale na południu dorasta do większych rozmiarów, a jej płetwy są bardziej czerwone. Czy to jest randu, czy już jakaś inna ryba?

– Oto filozofia: im więcej gadasz, tym większa szansa, że jesteś filozofem – klepała się Rin po udach.

– Stary Tubal Kan, największy filozof od czasu, gdy ziemia oddzieliła się od morza – chichotał nieco bardziej odprężony Bali. – Wujku, wybacz – złożył ręce w błagalnym geście.

– Jestem stary? Tak o mnie myślisz? Czy drzewo zasadzone przed moim urodzeniem jest stare, chociaż na wiosnę zieleni się bardziej niż młodnik?

Remu pragnął kontynuować temat shiraz. Mimo iż stary używał kilku imion, jego słowa miały sens.

– Kiedy się urodziłem, najbardziej bałem się shiraz. Jej podobizny obnoszono na procesjach. Teraz widzę, że pomimo lęku, który paraliżuje wszystkich wkoło, shiraz to tylko i wyłącznie kolejne bóstwo.

– Co masz na myśli? – młody Kan wyglądał na zdezorientowanego. – Shiraz spotka każdego. Ona istnieje.

Na ustach Remu pojawił się pobłażliwy uśmiech.

– Stary Tubal Kan czy Sadu, jak mi się też przedstawił, zadał mi pytanie na początku tej rozmowy. Uszło to twojej uwagi, bo na zewnątrz zabawiałeś się ze swoją raftan. Tymczasem Sadu Kan zapytał mnie, jaka jest moja wiara...

– Buziaczku, to jest Sadu czy Tubal? – Rin chichotała.

– Sadu twierdzi, że się znaliśmy. Teraz nazywa się Tubal, wtedy nazywał się Sadu. Ale najwidoczniej zapomniałem – jakaś przedziwna siła sprawiała, że słowa Keltana wypełniały izbę tak dokładnie, iż żadna inna myśl nie mogła się przez nie przebić. Stary zamilkł i przysłuchiwał się w skupieniu, gdy Remu kontynuował.

– Randu jest inna na południu i choć nazywa się tak samo, jest inną rybą. Shiraz jest wiarą dla mnie, dla ciebie to pewne, że się spotkacie. To samo słowo, a dwa różne rozumienia. Shiraz to potężne słowo, bo wiąże się z przekonaniem, że każdego nas spotka. Że jest to gwałtowne spotkanie i dla nas beznadziejne. To wszystko kwestia wiary. Mam w nosie shiraz, bo jest jedynie postacią z obrazka – tu spojrzał na starego. – Ty możesz uważać, że istnieje, i umykać jej, jak długo pragniesz. A teraz powiedz, jak naprawdę masz na imię!

Mężczyzna zdjął rybę z ognia i postawił na stole. Zwrócił się do siostrzeńca:

– Przynieś, proszę, talerze – po czym kontynuował w odpowiedzi na pytanie Remu. – Imiona się zmieniają. Ludzie tutaj zwą mnie Tubal Kan. Dlaczego takie imię? Rodzina Kan to dziś moja rodzina. Stary wujek Tubal jest Kanem od wielu lat. Ale zanim dotarłem na to wybrzeże, znali mnie pod imieniem Sadu. To było, zanim wsiadłem na statek. Na morzu zdarzyło się coś, co zmieniło moje życie. I zmieniło moje imię...

Gospodarz rozkładał randu na talerzach, które podawał siostrzeniec. Młody słuchał z roztargnieniem, jakby znał tę historię.

– Wujek ciekawie opowiada – mrugnął porozumiewawczo. – Ja biorę się za jedzenie – usiadł do stołu i zorientował się, że zapomniał o gościach. Wstał jak oparzony jadem morskiej peturii.

– Śpiewaku, zabawny z ciebie młodzieniec. Co nam podasz do tej ryby? – parsknęła śmiechem La Rin. Zdezorientowany Bali Kan chwycił się rozpaczliwie swojej raftan. Uderzył w struny.

Coraz więcej widzę
Słyszę głos z oddali
Zmysły mamia umysł
Oczy zapytały
Czy ten głos to ona
Czy jej dłonie czuję
Obok mnie już siedzi
Jej ramiona smukłe
Oplatają myśli
Wiążą przyszłość w teraz
Kocham czy wariuję
Jasna to cholera!

– Twoje piosenki leczą moją duszę – Rin klaskała w dłonie. Na stole pojawiła się butelka złotego płynu, który mienił się w świetle lampy. Ryba była smaczna, więc jedli z zadowoleniem. W ciszy przerywanej pochwałami posiłku upłynęło kilka kolejek. Granton szumiał już dobrze w głowach, gdy Remu zwrócił się do starego.

– Ciągłe nie wiem, jak cię zwać. Mam na to sposób. Sam się na któreś imię zdecyduję. Ale zdecyduję się na nowe. Zwać cię będę Rybakiem. Zamieszaleś mi we łbie, ale po raz pierwszy od dawna ktoś zapragnął ze mną porozmawiać na temat, który mnie nurtuje. Rybaku, chętnie z tobą pomówię o shiraz i innych bóstwach, wiarach i wiedzy, która w istocie jest tylko wiarą. Ale powiedz mi, czym jest ta przyprawa. Smakuje wybornie, ten złoty granton podkreśla tylko jej smak.

– Ta przyprawa to zabawka. Zabawka, która zmieniła moje życie... – Rybak pragnął prawdopodobnie, by jego głos dotarł do wszystkich. Spojrzał na Rin i Bali Kana. – Jak wam smakuje?

– To jest doskonałe, staruszkule – mrugnęła do grajka La Rin. – Na stole mogłaby stać świeca, ale wiem, że mężczyźni mogą

zapomnieć... – skierowała swój wzrok na starego, spoglądając niemal zalotnie.

– Pragnę rzec parę słów o tej przyprawie – zaczął Rybak. – Pierwszy raz spotkałem się z nią na Morzu Granatowym, właśnie tam, skąd pochodzi owoc, z którego powstał nasz granton. Byłem młody, a zwali mnie synem Zama. Moje plemię żeglowało od wyspy do wyspy, ja jednak wołałem żywot pasterza. Zamieszkałem na jednej z wysp, której mieszkańcy chodzili do lasu, żeby zbierać orzech. Różowy kolor miały kwiaty drzewa, z którego go rwali. Na co dzień używali orzechów jako przyprawy...

Bali, najwidoczniej zdziwiony opowieścią, podniósł palec.

– Wujaszku, pierwszy raz słyszę, że prowadziłeś tak rozrywkowe życie. Mam piosenkę – chwycił instrument, jednak Remu przytrzymał pudło rezonansowe.

– Posłuchajmy, proszę, Rybaka – instrument pozostał na miejscu, tylko stłumiony głos strun dobiegł siedzących przy stole.

– To krótka historia – podjął opowieść stary Rybak. – Orzech miał też swoje obrzędowe przeznaczenie. Baszan, kiedy pragnął odbyć swoją podróż w celu rozwikłania problemu rodu, zażywał go w całości. Ja także pragnąłem zostać baszanem. Orzech ukazał mi moje przeznaczenie, wsiadłem więc na statek i pożeglowałem. Mój ród mnie potrzebował...

– Chcesz powiedzieć, że orzech jest pomocnikiem? Że może dać odpowiedź gdy życiowe rozterki przytłaczają i tłumią radość? – Remu zastanawiał się, w jaki sposób użyć właśnie nabytej wiedzy. Stan, w jakim się znajdował, sprawiał, że każde wyjście zdawało się alternatywą godną uwagi.

– Keltan, a jakież to rozterki targają tobą? – parsknęła La Rin. – No przecież chyba nie powiesz nam, że sil taki jak ty ma rozterki – najwidoczniej słowa mężczyzny podrażniły jakąś część jej duszy. Patrzyła na Remu z wyrzutem, pochylona do przodu z rękami założonymi na piersiach.

– Orzech może dać nam wgląd. Zamiast odpowiedzi ukazuje pytanie. Odpowiedź znajdujemy już sami – Rybak łagodnie uśmiechnął się w stronę Rin.

– Znam takie trucizny. Palarnie wasko, uzależnieni od porcji smeru... To wszystko złudzenia, iluzje, które roztaczamy wokół siebie, żeby odciąć się od rzeczywistości – La Rin była w swoim żywiole – rozwój duchowy osiąga się poprzez ćwiczenia, poprzez wyrzeczenia, posty, śpiew.

– Wspinanie się na kolejne szczyty oświecenia – widzę, że mamy podobne zainteresowania – Rybak był szczerze uradowany. Tymczasem Bali Kan ziewał z nudów. Wziął swoją raftan i cichutko trącał jej struny, tak aby Remu nie zabrał mu zabawki. Teraz z jego ust wydobył się śpiew.

Lepsza porcja jest grantonu
Lepsze są uśmiechy krótkie
Bo co niszczy ludzką przyjaźń
to banalne po co kłótnie

Trzymaj nerwy swe gdy kopią
Jesteś wielką skałą człeku
co zamienia się w narwańca
I tak dzieje się od wieków

Rybak roześmiał się serdecznie.

– Śpiew, tak śpiew! Ducha unosi. A gdy wspomaga go zacny granton – tutaj mrugnął do Rin – staje się wehikułem dla wszystkich wkoło.

Objął swojego siostrzeńca i ucałował go.

– I twierdzisz, że się znamy – Remu również udzielał się coraz lepszy nastrój. – Ja prawie też czuję, jakbym cię znał. Ale takie uczucie to co innego, niż wmawiać komuś, że znaliśmy się z imienia. Wstydz się, Rybaku... – podniósł czarkę z grantonem. –

Piję za pomyślność wszystkich, co są w podróży do oświecenia.
W tym świecie oświecenie ma wartość wyższą niż złoto, bo
oświecony wszystko, czego dotknie, zmienia w złoto. Sęk w tym,



czy oświecony pragnie jeszcze złota... – zawiesił głos i spojrzał po biesiadnikach. – Wasze zdrowie. Dobrze się tutaj czuję, bo odnoszę wrażenie, że łączy nas coś więcej niż tylko wiara, że shiraz czyha na nas tuż za progiem.

Granton nie mógł dłużej czekać. Zanurzyli w nim swoje usta z poczuciem, że słowa Remu to szczerza prawda. Dobrze im się razem spędzało te późne godziny.

Nagle usłyszeli pukanie do drzwi. Młody Kan wyszedł do przedsionka i do ich uszu dotarła przytłumiona rozmowa. Po chwili do izby weszła postać w długiej sukni, a za nią stąpał Bali. Wysunął się przed nowego gościa i przemówił.

– Kochani – granton sprawił, że stał się bardzo bezpośredni. – Przedstawiam wam Jok da Salo, damę, mistrzynię podniebnych spacerów...

Kobieta machnęła ręką w stronę chłopaka, po czym zdjęła z głowy kaptur. Miała ciemną skórę i kruczoczarne włosy. W jej żyłach płynęło dużo borskiej krwi, być może jej przodkowie byli Nagarami. Remu przyglądał się z zaciekawieniem nowo przybyłej. Była piękna, a jej ubranie wyszukane. Długa suknia w kolorach granatu i purpury oraz peleryna z kapturem sprawiały wrażenie, jakby stanęła przed nimi postać z ulicznej parady. Rin spojrzała podejrzliwie.

– Jestem La Rin, usiądź, proszę, obok mnie, silla – wskazała na puste miejsce. Najwidoczniej pragnęła trzymać nowego gościa blisko siebie. Kobieta skinęła głową.

– Dziękuję za tę wyświadczaną mi uprzejmość. Podróżuję sama, a to miejsce jest ostatnie w całej dzielnicy, gdzie ciągle pali się światło... – mówiła z nieśmiałością, którą równie dobrze można było uznać za doskonale wyćwiczoną pozę.

– Świętujemy tutaj niezwykle spotkanie tych, którzy poszukują oświecenia – Rybak łagodnie patrzył na nowego gościa. – Jest jedzenie, jest coś, co podnosi nas na duchu. Jest i w końcu piąta osoba, bo przecież pięć mamy miejsc do siedzenia.

Bali Kan odsunął siedzisko i pozwolił spocząć na nim kobiecie.

– Zapraszam, częstuj się, silla, wujaszek Tubal pięknie nam tę randu przyrzadził – grajek wskazał na patelnię. Podał świeży talerz i podsunął go nowo przybyłej.

– Dziękuję – podniecone grantonem towarzystwo troszeczkę ją przytłaczało. Rybak podał czarękę.

– Silla, wznoszę toast, za te spotkania najmniej spodziewane. Za los czy przypadek, czy jak tam zwą tę siłę, która sprawia, że życie ma smak ciągle nowy. Bo gdy nuda przyciska nas do ziemi, wtedy los gotuje się do rzutu kośćmi. Więc za ten rzut kolejny pijmy, moi drodzy, bo zdaje się, że z losem do nowej rozgrywki siadam.

La Rin malutkim łykiem pociągnęła napój ze swojego naczynia.

– Byłam do tej pory jedyną tutaj kobietą, teraz mogę jednak wyrazić swoje poglądy bardziej swobodnie. Granton ten jest wyborny, ale z ilością trzeba uważać. Rozmawialiśmy, silla, o oświeceniu – zwróciła się do sąsiadki. – I sporną kwestią stały się drogi do niego – Rin najwyraźniej starała się wciągnąć nowego gościa do dyskusji.

– Moja sztuka to ćwiczenia ciała, silla. Tak jak każda sztuka, ta też zbliża do oświecenia.

Bali Kan miał najwyraźniej coś do powiedzenia o nowo przybyłej.

– Jok da Salo to artystka. Zdąża na pokazy sztuk, ma angaż w cyrku Pa Tal.

– Dawaliśmy przedstawienie w plenerze. Jest taki moment po występie, że brak ochoty na sen – kobieta rozłożyła ręce bezradnie.

– Ten dom to lek na samotność – uśmiechnęła się do Rybaka.

Remu milczał do tej pory, obserwując gościa i jego stosunki z gospodarzami. Najwidoczniej znali się, chociaż ich znajomość miała oficjalny charakter. Gdyby nie granton, pewnie o wiele

bardziej zdziwiliby się tą wizytą. Remu odnosił wrażenie, że kobieta jest tutaj z innego powodu, niż mówi.

– Silla, zwań mnie Keltan Remu. Granton prawie już się kończy, ale nasi gospodarze mają zapewne w zanadrzu drugą butelczynę. Tylko że proponuję wam inny trunek. Bali Kan uraczy was jakąś uroczą piosnką, a ja w tym czasie przyniosę coś, co niesie na grzbiecie mój dobry Hurpa – Keltan wstał i tyle go widzieli. Grajek wziął do ręki raftan.

– Czuję się instrumentalnie potraktowany. Mimo to jestem gotów spełnić ten miły obowiązek – już miał trącić struny, gdy Jok zaśpiewała:

Czerwone są usta kochanka
co płynie samotnie ku shiraz
W jej oczach co palą jak węgle
Widziałam coś więcej niż gorycz

Ścigała go krwawa banda
Żeglował na wschód ku nadziei
Już myśli się tych nie wyzbędę
Że kochał ją bardziej niż życie

Bali Kan delikatnie wtórował artystce, starając się złapać odpowiedni akord. Z zewnątrz dotarło ich rżenie konia. Rin popatrzyła po zebranych.

– To już późna pora. Zamiast zaczynać tę nową butelkę, myślę wskoczyć na siodło i wracać do siebie.

Dopiero teraz Bali Kan zorientował się, jak bardzo zaniedbał tę, o której względy tak zabiegał na początku wieczery. Struny zabrzmiały weselej, a on zaśpiewał:

Karmiony a głodny
W ubraniu się trzęsie

Bo zimno nim włada
A serce ma gęsie

Zapomniał że kocha
Zapomniał że żyje
To głupiec, idiota
Zasłużył na kije

Bo jest prawda świata
Kto kocha nie błądzi
Bez szkoły wiadomo
Cię miłość ozłoci

Rin właśnie wstawiała od stołu. Rybak spojrzał na gości.

– To, co dobre, często kończy się najmniej spodziewanie. Silla, było ogromną przyjemnością to spotkanie – zwrócił się do Rin. – Trunki są widać pasją twojego towarzysza...

Drzwi tymczasem otworzyły się i stanął w nich Remu. W ręce trzymał coś, co widać miało dla niego dużą wartość. Zauważył, iż jego sojuszniczka powstała z miejsca, zwrócił się więc do niej, jednocześnie czując, iż wyraża myśli pozostałych.

– Ostatnia kolejka. Keltan Remu ma coś, co albo znajdzie dziś drogę do waszych serc, albo... – starał się znaleźć odpowiednie porównanie.

– Albo sprawi, że obudzimy się jutro z uczuciem, jakby wielki trajgut owinał nas swoją macką, przeciągnął po piachu i wyrzucił na brzeg po pięciodniowym sztormie – zaśmiał się Rybak i wyciągnął dłoń w stronę Remu.

La Rin usiadła z ociąganiem. Towarzystwo kontynuowało wieczór, jednak jej humor był popsuty.

– Szklaneczka stagonu, prosto z pokładu statku, który wczoraj zawinął do portu – zachwalał swoją zdobycz Keltan. Spoglądał

ukradkiem na Jok da Salo, która kosztowała nowy trunek. Ta złowiła jego spojrzenie i uśmiechnęła się.

– Nareszcie jestem z wami – uniosła naczynie w górę i rozejrzała się wokół. – Taka noc, tuż po pełni, to czas rozwiązania. Dziś zagadki znajdują swoje odpowiedzi. Pytajcie, każdy może dziś odnaleźć w sobie prawdę. Bo w towarzystwie, gdzie szczęście gości w ludzkich sercach, droga jest dla prawdy otwarta – skłoniła głowę i na ten znak wszyscy sięgnęli po swoje naczynia. Jedynie Rin odsunęła czarkę.

– Jestem już zmęczona. Świętujcie, proszę. Noc jest spokojna, sama trafię do domu, mój drogi – spojrzała na Keltana. Rybak zamachał rękami.

– Silla, proszę – złożył dłonie w błagalnym geście. – Spraw, by ta noc była szczególna dla starego gospodarza. Mam drugą izbę, przyjmij, proszę, moją gościnę – upadł na kolana i reszta towarzystwa zrobiła to samo, jakby jeden duch w nich wstąpił. La Rin parsknęła śmiechem wymuszonym co prawda, ale najbardziej szczebiotliwym, na jaki było ją stać.

– Gospodarzu, stawiasz mnie w kłopotliwej sytuacji...

– Silla, jestem tylko aktorką, ale jeśli możesz, spełnij prośbę moją i wszystkich, którzy wierzą w... – Jok da Salo rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu podpowiedzi.

– Wierzą, że przeznaczeniem człowieka jest szczęście i dobre towarzystwo – huknął Keltan i złapał La Rin, która wyglądała na ostatecznie pokonaną. – Gospodarzu, gdzie te pokoje?

Rybak zaprowadził ich do sąsiedniej izby i zaproponował, że gdyby tylko La Rin pragnęła, może udać się na spoczynek. Reszta kontynuowała spotkanie, a kolejne opowieści i toasty wywoływały salwy śmiechu. Księżyc zachodził, gdy kontury opróżnionych butelek poczęły rozmazywać się w oczach Remu. Głowa ciążyła, powieki opadały coraz częściej. Keltan przysnął dokładnie tam, gdzie siedział.

Obudziło go trzaśnięcie drzwi. W izbie pod ścianą drzemał Rybak i młody Kan, Jok da Salo zniknęła. Remu powłókł się do izby, gdzie spała Rin. Cicho usiadł na pościeli i położył dłoń na jej głowie

– To już? – otworzyła oczy i spojrzała wokół.

– Wracamy do domu – uśmiechnął się Keltan.

Po chwili dwoje jeźdźców wsiadało już na koń i ruszało w powrotną drogę. Ranek był chłodny.

– Nadchodzi przełamanie – Remu przyglądał się niskim chmurom, które zasnuły niebo. Siąpił drobny deszczyk. Początek pory deszczowej napawał go smutkiem, być może jednak uczucie to spowodowane było jeszcze czymś innym.

– Nie wierzę, że zostaliśmy tutaj na noc – Rin miała kwaśną minę – cieszę się jednak, że spędziłeś ten wieczór z przyjaciółmi.

Remu uśmiechnął się. Wspomnienie biesiady było mu miłe.

– Rybak przypominał mi o tym, co daje radość – odwrócił głowę w kierunku, skąd dobiegał szum oceanu.

La Rin spojrzała czulej na mężczyznę, który jechał obok niej. Czasem na końcu języka miała słowa o swoich uczuciach względem niego, jednak trudno było je wydobyć.

– Lubię, kiedy się uśmiechasz – tym razem była z siebie zadowolona. Wychowana w surowej dyscyplinie zdawała sobie sprawę, że ciągle pracuje nad łagodniejszą częścią swojej natury.

– Jesteś... – Keltan wiedział, że jego smutek to coś więcej niż tylko deszczowa pora. – Jesteś dla mnie podporą...

Kierowali się nieśpiesznie w kierunku portu. Wybrali inną drogę niż poprzedniego dnia. Przystań rybacka była daleko za nimi, oni zaś jechali wąską plażą usianą głazami, które wystawały również z wody. Na horyzoncie dostrzec można było przebijające się promienie słońca. Pogoda zdawała się chwilowo poprawiać, tymczasem do ich uszu dotarł wzbierający szum. Odwrócili się i zamarli.

Od strony przystani zbliżało się w ich kierunku coś, co przypominało wirującą kolumnę wody. Słup sięgał do podstawy chmur i unosił z powierzchni morza tumany piany i wodnego pyłu. Keltan spojrzał na Rin i w tym momencie poczuł uderzenie wiatru. Przerażone konie zarżały, drobnymi krokami sygnalizując chęć ucieczki, jednak jeźdźcom udało się je pohamować. Plaża kończyła się urwiskiem. Na jego szczycie zielenił się las, który mógł dać im schronienie, gdyby nie stroma ściana klifu. Zeskoczyli z wierzchołków. Momentalnie stanęły dęba, z popłochem odwracając się od nadchodzącego zjawiska. Wirujący w powietrzu piach pchał się do oczu i ust. Remu pragnął chronić Rin, przyciągnął więc ją do siebie i wymówił słowa lentu:

Jestem miły wszystkim
Wszyscy mnie kochają
Strzegą siły światła
Zielonego gaju
Czarnej ziemi sługi
Są mymi sługami
Wiatry mymi druhy
Woda dobra pani
Jest ze mną gdy strachu
Targają mną szpony
Do wiecznego życia
Jestem urodzony

La Rin obejmowała Remu i kryła swoją twarz w jego otwartej na piersiach kurtce. Czowała bijące jak oszalałe serce sojusznika. Słowa lentu dodawały jej otuchy, a jej usta szeptały: „Do wiecznego życia...”. Remu powtarzał je jeszcze raz i jeszcze raz, gdy unoszący się w powietrzu piach siekł jego usta.

Wir szedł samą granicą, na której spotykał się ocean i kontynent. Widać już było pojedyncze obiekty, które kręciły się

wokół jego centrum. Zupełnie wolne konie pognały w kierunku portu. Wszędzie fruwały gałęzie i rybackie sieci, które wir porwał, gdy suszyły się na plaży. Ludzie stali nieruchomo jak sparaliżowani. Keltan zdawał sobie sprawę, że podejście pod klif to ryzyko, iż ziemia osunie się na szukających schronienia. Obejmował kurczowo Rin, gdy oboje opadli na kolana. W końcu siedli wtuleni w siebie.

– Doskonałe zakończenie wycieczki – wrzasnął Remu. Słowom lentu udało się odegnąć strach i mógł pozwolić sobie na bardziej trzeźwą ocenę sytuacji. – Trzymaj się mnie. Trudniej będzie nas unieść w górę, gdy się obejmujemy – krzyczał do ucha Rin.

Wiatr wył, a kolumna wydawała się już tak blisko, że wystarczyło rzucić w jej kierunku kamieniem, aby stał się częścią wiru. Dosłyszeli krzyk jakiegoś ptaka morskiego, który musiał znajdować się po drugiej stronie kurtyny. Jej budulec stanowił zawieszony w powietrzu piach zmieszany z wodą. Rin oderwała twarz od Remu.

– Miałam sen – krzyczała. – Słyszałam tego ptaka!

Wstała i zwróciła się w kierunku, skąd dochodził głos.

– Jestem La Rin! Córa szeptu! Wracaj! Wracaj! – wyciągnęła dłonie przed siebie, jakby chciała zatrzymać to, co nieuniknione. – Jestem La Rin! Odejdź, ptasi wietrze!

Remu tracił słuch. Słowa Rin tłumił jednostajny ryk. Mężczyzna trzymał sojuszniczkę za nogi i czuł, jak odrywa się od powierzchni ziemi. Jej uniesione ramiona działały jak skrzydła lub żagle. W tym momencie coś uderzyło go w głowę.